

Trzepak ze strychu pamięci

Jolanta Gajda-Zadworna 22-10-2009

Najpierw z impetem wdarła się na listy bestsellerów z niespieszną opowieścią o „Domu nad rozlewiskiem”. Teraz zabiera czytelników na Saską Kępe i „prawdziwą” Pragę sprzed lat. Wykonując „Fikołki na trzepaku”, odczarowuje i oswaja czasy PRL-u. Z Małgorzatą Kalicińską spaceruje Jolanta Gajda-Zadworna.



autor zdjęcia: Darek Golik
źródło: Fotorzepa

Małgorzata Kalicińska tym razem nie znad rozlewiska, a spod trzepaka na podwórku, na którym się wychowała

[+zobacz więcej](#)

Mówi o sobie „kobieta pisząca”. Tak też przedstawia się na wizytówce. Książkę „Fikołki na trzepaku”, wydaną właśnie przez Zysk i S-ka, zaczęła pisać – co podkreśla – bynajmniej nie z braku skromności, ale dlatego, że... jeszcze pamięta. Mnóstwo szczegółów, imion, miejsc oraz smaków sprzed lat. Z podwórka, szkoły i ulic – bliższych i dalszych, ale też z Bazaru Różyckiego, gdzie wędrowała z zafascynowanym Warszawą ojcem. Namawia wszystkich, którym czas na to pozwala, a skleroza jeszcze nie nęka, by – na początek dla siebie i swoich bliskich – otworzyli strychy i piwnice pamięci. Wyciągnęli z nich i opisali zdarzenia, osoby i miejsca, które dla nich były, a może i wciąż są, ważne.

Ona sama, przyjmując perspektywę dziecka, wróciła w „Fikołkach na trzepaku” do PRL-u. Czasów, od których wielu ludzi wciąż się odżegnuje. Jednak dla niej – i wielu 50-, 40-, a może i 30-latków – był to przede wszystkim okres niezapomnianych podwórkowych zabaw, trzepakowej ekwilibrystyki, zjadanej na sucho oranżady w proszku, ordynowanych przez matki zimą ciepłych majtów i wielu zwykłych zdarzeń, nigdy potem tak intensywnie nieprzeżywanym.

Dzieciaki z „chamówka”

Najwcześniejsze wspomnienia Warszawy kojarzą się jej z Saską Kępą. Podzieloną na dwie części.

– Mam dwa latka i tuptam po ulicy Krynicznej. To Warszawa istniejąca. A potem mam lat cztery i tata prowadzi mnie na ulicę Międzynarodową, która dopiero powstaje – opowiada.

W powietrzu unoszą się tumany cementu, piasku, kurzu, wręcz widać, jak wokół rosną domy, a tata mówi do niej: „Być może będziemy tu kiedyś mieszkali, Małgosiu”.

– I to się ziściło. Rzeczywiście w pewnym momencie stałam się mieszkanką ulicy Międzynarodowej nr 53 m. 19, druga klatka – opowiada. Dostrzegła wtedy podział Saskiej Kępy, niezrozumiały dla kogoś z zewnątrz, który po raz pierwszy zarysował się tuż po wojnie. Rdzenni mieszkańcy uważali, że wszystko, co jest za ulicą Saską, patrząc od Wisły, to „chamówek” zamieszany przez ludność napływową. Dzisiaj linia podziału zaczyna się od Międzynarodowej. Bloki z lat 70. są przez zasymilowanych na „chamówku” mieszkańców uważane za coś gorszego.

– Ile my się tak jeszcze będziemy dzielić i mnożyć? – pyta retorycznie Małgorzata Kalicińska. – To idiotyzm. Saska Kępa nie będzie się wiecznie rozrastać. Nie jest z gumy. Trzeba się nią cieszyć taką, jaka jest. Bo, choć coraz trudniej odnaleźć tu charakter małego miasteczka, nadal pozostaje enklawą. Czuje się jej klimat w murach, uliczkach, drzewach.

Migawki z przeszłości

Okolice Międzynarodowej wciąż są „jej miejscem”, mimo że od lat tam nie mieszka. Najpierw wyprowadziła się na nieodległy Gocław, ale potem już znacznie dalej, pod Warszawę. Na Saskiej Kępie zostali: brat z ciotką Teresą, niektórzy znajomi i – co podkreśla – „cała fura wspomnień”. Kalicińska ma nieprawdopodobną pamięć do szczegółów. Mogłaby, jak mówi, precyzyjnie narysować np. ekspedientki ze sklepu przy ul. Angorskiej: panią Zosię i panią Stefę. Gdyby tylko rysować umiała...

Pamięta też doktora Andrzeja Sosińskiego ze szpitala na Niekańskiej, który leczył ją, gdy była dzieckiem, a potem jej syna. Wiele małych rąk, nóg i brzuszków dzięki niemu wyzdrowiało.

– Był postacią niezwykłą, czarownicą, ale też niekonwencjonalną. I chyba dlatego zbyt szybko wykreślona z pamięci personelu. Tak strasznie się cieszę się, że nadal będzie. W mojej książce – uśmiecha się autorka.

Ślizgawka i Indianie

Nieprawdopodobnie ważnym miejscem rozwoju fizycznego, emocjonalnego i duchowego Małgorzaty Kalicińskiej był park Paderewskiego.

Jej ojciec tak o nim mówił, chociaż równie słuszna i popularna była nazwa park Skaryszewski. Tej używano bliżej Pragi. Mieszkańcom Saskiej Kępy zielony teren kojarzył się przede wszystkim z popiersiem znakomitego pianisty, kompozytora i polityka międzywojennej Polski, które nadal tu stoi.

Jako córka ojca, który Warszawy wciąż był ciekaw, pani Małgorzata nie poprzestaje jednak na przytoczeniu zwyczajowych nazw. Przypomina, że gwarowo określany jako Skaryszak dopiero w okresie międzywojennym dostał imię Ignacego J. Paderewskiego. Po wojnie znów przemianowany na park Skaryszewski, w 1980 roku powrócił do przedwojennej nazwy.

– Do parku Paderewskiego chodziło się na ślizgawkę. Rokrocznie wylewaną tam, gdzie dziś jest klub tenisowy. Z megafonów płynęły przeboje Beatlesów, Skaldów, Czerwonych Gitar. Poza tym poznawało się różnych fajnych chłopaków. Zakochiwało się w nich, a potem odkochiwało. Czasami jeździło za rękę, co było niezwykle wprost romantyczne – komentuje z szelmowskim błyskiem w oku.

W lecie chodziło się tam na rower i bawiło z chłopakami w Indian. Zaciekle obleganym i bronionym domem szeryfa była... mała stojąca kapliczka. Jednak najważniejsze pozostawało podwórko przy ul. Międzynarodowej 53 – z trzema trzepakami, mnóstwem koleżanek i kolegów, których – poczynając od pierwszej, a kończąc na czwartej klatce schodowej – wymienia w swojej książce. – Tak było trzeba. Nie mogłam nikogo pominąć – podkreśla.

Patrz, dziecko, wyżej

„Pozapodwórkową” Warszawę poznawała dzięki tacie. – Pokazywał mi Starówkę, ulicę Rycerską, na której przed wojną mieszkał i jako dziecko znał jak własną kieszeń, ale też inne miejsca. Powtarzał mi: „Małgonisiu, pamiętaj, kiedy będziesz w jakimś mieście, nie patrz tylko na sklepowe wystawy, ale wyżej dziecko, wyżej. Tam są cuda architektury warte twojej uwagi”. Często przypominam sobie te słowa i zadzieram głowę – opowiada. Dzięki radzie ojca... doznała m.in. wstrząsu w Barcelonie. Spojrzała w górę i dopiero wtedy zobaczyła jedną z kamienic Gaudiego (Casa Batllo). Piękną. Nie mogła powstrzymać łez.

Ojciec cieszył się, że powojenne gruzowiska wracają do życia. Sekundował kolejnym etapom odbudowy Starówki, przyglądając się uważnie także innym częściom miasta. Był varsavianistą amatorem i wielbicielem Gałczyńskiego, dlatego jego opowiadanie o Warszawie pełne było emocji i romantyzmu. Ponad 30 lat temu, namówiony przez żonę, zaczął pisać książkę.

Zatyłował ją „O Starówce, Pradze i Ciepokach”. „Ciepokami” nazywano rodzinę rzuconą, czyli „ciepniętą” przez losy do Mirkowa. Dziadkowie pracowali w tamtejszej fabryce papieru.

W swojej książce Zdzisław Kaliciński zawarł wiele detali dotyczących Saskiej Kępy, dużo miejsca poświęcając też historii fabryki papieru w Konstancinie-Jeziornej, a właściwie w Mirkowie, i opisom życia ówczesnych robotniczych rodzin.

Pyzyyy, gorące pyzy...

O tym, że miasto to nie tylko mury, ale też zapachy i odgłosy, mała Małgosia przekonywała się podczas – czynionych w tajemnicy przed mamą nauczycielką – wędrówek z ojcem na Bazar Różycykiego.

Owe wypadki kończyły się konsumpcją słynnych pyz, serwowanych z opakowanych w gazety słoików po dzemie. Gorące, miękkie, elastyczne i obficie polane skwarkami wyciągało się ze słoika przy pomocy aluminiowego widelca, odwiniętego wcześniej z papieru, z przysięgą, że czyste! – Dziś może się to wydawać hardcore’owe, ale w tamtych czasach nie słyszałam, by ktoś się po takim

jedzeniu pochorował – stwierdza. Według niej pyzy z Różyca były jak wzór metra z Sevres pod Paryżem, wzorem prawdziwie warszawskiej kluchy.

Na ten stary stołeczny bazar autorka „Fikołków na trzepaku” czasami zagląda, ale znacznie więcej serdecznych związków z przeszłością czuje na Saskiej Kępie. Dzięki książce już odnalazła tu najlepszą przyjaciółkę z podwórkowego dzieciństwa. Spotkały się po 40 latach, na promocji „Fikołków...”.

Wieś na nią działa

W zapamiętane z dzieciństwa zaułki saskokępskie chciałaby wrócić, kiedy „będzie zażywną staruszczką”. Przyjdzie wtedy czas, by „zalogować” się na starych śmieciach. Na razie ucieka pod Warszawę. Nie na Mazury, z którymi kojarzą ją czytelniczki cyklu o „Domu nad rozlewiskiem”, ale też w bliski kontakt z naturą.

– Jestem genetyczną wieśniarą, kocham wieś – deklaruje Kalicińska. –Tylko wtedy jestem w stanie pisać takie „zaduszewnyje” kawałki, jak powiedzieliby Rosjanie, kiedy przed oknami mam parujące rosą łąki, a nawet pastwiska z krowimi plackami. To na mnie działa, z tym mi jest fajnie, to mi gra w duszy. I, jak słyszę od czytelników, całkiem sporej grupie ludzi też.

Życie Warszawy